

OKRĘŻNE.

KOMEDYA W DWOCH AKTACH.

CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM I DRUKIEM W. DYNIEWICZA,

1892.



243073

OKREŻNE.

KOMEDYA W DWOCH AKTACH.



CHICAGO, ILLINOIS.
NAKLADEM I DRUKIEM WŁADYSŁAWA DYNIEWICZA.
1892.

481561

OSOBY.

- Panna Tekla Kaliniecka.**
- Szambelan Dalszycki, jej opiekun.
- Felix Dalszycki, syn szambelana.
- Pani Erazmowa, siostra szambelana.
- Klara, jej córka.
- Pszenickiewicz, ekonom panny Tekli.
- Kluczkowska, jej klucznica.
- Organista.
- Żydek, muzykant.
- Kachna, dziewczka ze wsi.
- Wojtek, parobek.
- Stary Wieśniak.
- { Wieśniacy różnej płci i wieku, Żydki muzykanci.
- { Chłopy ze szkółki.

Scena w Kalińcach, wsi panny Tekli.

82.23/99

AKT I.

Pokój bawialny w domu panny Tekli. Drzwi wchodowe we środku, drzwi boczne na lewo, okno na prawo, przy oknie na staludze obraz, na stole książki, nuty itd.

SCENA I.

Pani Erazmowa (*siedzi przy stole z robotą. Wchodzi Kluczkowska, z pękiem kluczków za pasem i z listem w ręku*).

Pani Erazmowa.

Czy nie od mego brata?

Kluczkowska.

Tak jest, pani dobrodziejko. Umyślny przywiózł od pana szambelana.

Pani Erazmowa (*przebiegłszy list*).

Prędzejże, prędzej, Kluczkosiu! każ oczyścić jego pokoje.

Kluczkowska.

Więc pan szambelan przyjeżdża?

Pani Erazmowa.

Ale nie tylko on, moja kochana. Felix przyjechał z za granicy i zaraz tu będzie. Każ także dla niego uprzątnąć narożny pokój.

Kluczkowska.

No! przyznam się pani, że się już rozporządziła sama — i pokój ten czysty jak pudełko. Pozawczoraj śnił mi się pożar. — Oho! myślę sobie, będą jacyś niespodziewani goście — i dalej ja do roboty; zmiatać, podłogę myć, łóżko urządzić! Ot! proszę pani, i na prawdę wyszło.

Pani Erazmowa.

To bardzo dobrze. Mój bratanek pierwaj przyjedzie, niż mój brat — i tylko co go nie widać — pisze mi brat, że go utrzymać w domu nie może.

Kluczkowska.

Ech! proszę pani! cóż to dziwnego? jadąc do takiej panny, jak nasza pani, może spieszyć!

Pani Erazmowa.

Żeby ją znał, toby jeszcze bardziej spieszył.

Kluczkowska.

A to nie zna, proszę pani?

Pani Erazmowa.

Tak dobrze, jak nie zna, moja Kluczkosiu! Widzieli się małemi dziećmi; ona wychowała się gdzie indziej — on gdzie indziej — przytem, ze sześć lat za granicą siedział.

Kluczkowska.

I tak na pamięć się zaręczyli? bo nasza pani nosi jego pierścionek, to juźci i swój musiała mu posłać.

Pani Erazmowa.

A posłała, — nie dla formalnych zaręczyn, ale tak, na żądanie mego brata. Bo widzisz, moja Kluczkosiu, to dawny układ między ojcami, którzy byli przyjaciółmi i kochali się jak bracia. Dla tego to mój brat został opiekunem Tekluni, pokochał ją jak własne dziecko i niczego bardziej nie pragnie, jak żeby doprawdy dzieckiem jego była.

Kluczkowska.

Oj! któżby tego nie pragnął? taki anioł w ludzkim ciełe.

Pani Erazmowa.

Co to, toś prawdę powiedziała. Takiej

panny, z taką głową, z takim sercem, z takim humorem wesołym, tak pragnącej, aby wszystko, co ją otacza, było wesołe i szczęśliwe, daleko na okolo nie znajdzie.

Kluczkowska.

Ech! proszę pani, choć i najdalej słuchać, to nie znajdzie. Jaka ona dla nas sług, a jaka dla wieśniaków. — Co dzień prawie przychodzi to ten, to ów, dziękować to za to, to za owo. Poczciwi ludziska!... nie umieją wypowiedzieć co czują. Ale, jak czasem zawołają: dziękujemy pani, niech panią pan Bóg błogosławi, to mnie aż płakać się chce, bo wyraźnie słyszę, że całym sercem dziękują, całą duszą błogosławią.

Pani Erazmowa.

Kto szczerze kocha, ten jest szczerze kochany — tak zawsze bywa, moja Kluczkosiu!

Kluczkowska.

To prawda, wszyscy ją kochamy, i my i pani i panna Klara.

Pani Erazmowa.

Byłabym bardzo niewdzięczną, gdybym jej nie kochała. Bo cóż ja dla niej jestem? — Żadnego pokrewieństwa, żadnej przyjaźni mię-

dzy nami nie było. Zubożała wdowa, mieszkam tu u niej z moją Klarą, żeby nie była samą; a jak się ona ze mną obchodzi! Szanuje mnie, jak matkę, a Klarę kocha, jak siostrę rodzoną.
— O moim bracie to już i nie mówię.

Kluczkowska.

No! powiem pani, jużby to było źle, gdyby nie miała szanować takiego opiekuna. I jak pan szambelan zagospodarował jej majątek? jak się rozbija za jej dobrem? sto razy więcej, niż za swoim. (*Skromnie*). Ot i mnie tu przysyła do kluczków, proszę pani, choć i ja tam u niego potrzebna, bo wie, że ja nocy nie dośpię i wszystkiego dopatrzę. Zeby tylko pan Felix miał rozum i nie wzdragał się; bo to może mu się tam gdzie w głowie zawróciło do jakiej Niemkini.

Pani Erazmowa.

Co też ty pleciesz, moja Kluczkosiu! Czyby on to zrobił? Choćby innych powodów nie było, już jako dobry syn wypełni wolę ojca. Dał tego dowód, poddawszy się zupełnie i prawie zaręczwszy się z Teklunią na słowo ojcowskie.

Kluczkowska.

Daj Boże! Daj Boże! Ale pójdę ja, jeszcze

zobaczę, żeby tam czego nie zabrakło, — czy i pan szambelan dziś przyjedzie?

Pani Erazmowa.

Może dziś, może jutro rano, bo ma tam kogoś w pilnym interesie, który musi skończyć.

Kluczowska (*śmiejąc się*).

A panicz czekać nie chce — to dobry znak, chwała Bogu! — Ale gdzież to nasza pani? może jej powiedzieć, jakiego ma mieć gościa? Ja tam porządkowałam w spiżarni, — te bestye myszy tyle mi szkody narobiły, — ale i nie wiem, gdzie panny poszły. Pani nie wie? posłałabym.

Pani Erazmowa.

Teklunia poszła z Klarą na wieś.

Kluczowska.

A prawda, wiem, dziś żniwa się kończą, wszyscy w polu, ani jednej matki nie ma w domu, — oto! To już pani nie zostawi tak dzieci bez dozoru i opieki; i założyłabym się, że mi wszystkie bułeczki z szafy wybrały. Oj te gospodynie! Goście na karku, a bułeczek nie będzie, co ja tu zrobię, jak narzeczony przyjedzie?

SCENA II.

Też, Tekla i Klara.

Wchodzą Tekla i Klara, z kapeluszami w ręku, obie sfatygowane; Klara rzuca się na krzesło.

Tekla.

Jaki narzeczony?

Kluczkowska.

Ech! jużci nie mój — dowie się pani. A ja pójdę, żeby były bułeczki świeże, bo panny pewniuteńko wybrały wszystkiez szafy.

Tekla (kładąc obie ręce na jej ramieniu).

Co do jednej, moja Kluczkosiu!

Kluczkowska (całuje ją w rękę).

To nic, to nic, dobra moja pani. Będą świeże dla tego gościa, co się tu spieszy. Nie darmo mi się śnił pożar. (*Wychodzi*).

Tekla (siadając).

Jakiż to gość, proszę pani? Kluczkosia ma jakąś szczególną minę.

Pani Erazmowa.

Zgadnij, domyśl się.

Klara.

Któż, mamó? Wujaszek?

Pani Erazmowa (*wstając*).

I wujaszek i jeszcze ktoś.

Klara (*zrywa się klaszcząc w ręce*).

Pan Felix! doprawdy? O! kochany kuzynek będzie się miał z pyszna, że tak marudził za granicą, mając tu skarb taki.

Tekla (*powstawszy*).

Więc doprawdy, mój pan filozof przyjechał?

Pani Erazmowa.

Na, czytaj! (*Daje jej list*).

Tekla (*przebiega list, Klara oparta na jej ramieniu zagląda — po chwili Tekla czyta głośno*). "Spodziewam się, że go Teklunia znajdzie takim, jakim go jej opisałem. Ja przynajmniej nie wielką znajduję różnicę od tego, com sobie wyobrażał — i mój pan syn dosyć mi się podoba. Wprawdzie zarwał on tej zwykłej nie filozoficzno-niemieckiej gadaniny, wszakże i ja i Teklunia prędko go z tej choroby wyleczymy".

Klara.

A mnie to już ma wujaszek za nic; wezmę ja go także w obroty.

Tekla (*po krótkim czytaniu cichem — głośno*).

“Rwie się do was, niecierpliwy poznać swoją narzeczoną. Przeproś siostró, że ją tak przed czasem nazywam. Ale Bóg widzi, że niczego bardziej nie pragnęłam i nie pragnę”. (*Mówi składając list*). Kochany mój opiekun. O! żeby to synek był do niego podobny!

Klara.

Kiedyż on przyjedzie, moja mamó?

Pani Erazmowa.

Ale tylko co go nie widać.

Klara.

Trzeba się więc ubrać — szczególnież tobie, Tekluniu! a myśmy się nachodziły tak, że nóg nie czuję. Taka to z niej zawzięta gospodyni!

Pani Erazmowa.

Co to, to prawda! Aż nadto, moja Tekluniu. To też i opaliłaś się tak bardzo.

Tekla (*przed lustrem*).

Alboż mi tak źle? Patrzcie państwo, co to za koloryt! co tu życia, co tu zdrowia? Nie wyglądam wcale, jak te lalki warszawskie, co to

myślą tylko o stroju, o oknie i o ulicy, ale jak prawdziwa wiejska panna, która zna swoje obowiązki i pełni je.

Pani Erazmowa.

Nikt ci tego nie gani, moja droga Tekliu! Wzięłaś się sama do gospodarstwa, do rządzenia swoim majątkiem; to bardzo chwalebnie, tylko i w dobrem nie należy przebierać miary; i ja, jako ciotka pana Fel'xa, chciałabym, by na twojej ślicznej twarzyczce, której słońce nie oszczędza, cokolwiek białości i dla jego oczów zostało.

Tekla.

A czemuż nie przyjeżdżał w zimie, pókim była biała? już więcej niż pół roku, jakem mu posłała pierścionek na zamian za ten oto, który mi z łaski swojej przysłał; ale widać, że woli chmurną i ciemną filozofią niż mnie wesołą i jasną. Jeżeli mu się tak nie podobam, jak teraz, niech sobie to przypisze i ma pretensją do tego.

Pani Erazmowa.

Oprócz tego przez to gospodarstwo, w czymby cię mogli wyręczyć i ekonom i Kluczkowska zarzuciłaś inne rzeczy, Książki

leżą w zaniedbaniu — fortepian prawie ciągle zamknięty, nawet tego obrazu nie kończysz, który cię tak zajmował, i na którym wyobraziłaś tak ładnie scenę wiejską. Przynajmniej tę dziewczeczkę dokoncz, która tak do ciebie podobna.

Tekla.

A! bój się pani Boga, gdzie ja teraz na to wszystko czas znajdę, kiedy miałam niedawno siano na głowie, a teraz mam żniwa.. To wszystko będzie dobre później, w jesieni, w zimie, jak się ułatwię, lub będę mogła wyręczyć się mężem, jeżeli on wie, co to jest być gospodarzem i panem włości.

Klara.

Perorować o tem to pewnie umie! Pamiętasz ten list jego, na który się wujaszek tak gniewał, gdzie rozprawiał o stanowisku, z jakiego się zapatrywać należy na stosunek między panem i włościanami. Czy wiesz, Tekluniu? gdybym ja była na twojem miejscu, to bym mu wielkiego figła wyplatała.

Pani Erazmowa.

Już ty zawsze pierwsza jesteś do swawoli.

Tekla.

A ja nie? bardzo panią przepraszam, ja się w tem nie dam wyprzedzić nikomu. Cóżbyś myślała? powiedz Klarciu! — i mnie także chętką bierze przyjąc go jakoś oryginalnie. Bo, co to proszę za nudna będzie scena, jak on tu przyjedzie. On mnie nie zna, ani ja go nie znam; ale on wie, że ja jego narzeczona, i ja wiem, że ma być moim mężem. Już to samo da nam położenie niezmiernie żenujące. Cóż dopiero, gdy nastąpi rekomendacya! — Jestem ten i ten, powie; a ja spuszczę oczy, zaczerwienię się i odpowiem: jestem ta i ta — niech pan siada. A potem ani on nie będzie wiedział, co powiedzieć, ani ja — i będziemy tylko z pod oka na siebie poglądać i zaczniemy ważny akt wzajemnego podobania się sobie.

Klara.

Czy wiesz, Tekluniu? jabym nie wytrzymała, — jabym mu parsknęła ze śmiechu w oczy.

Tekla.

Naturalnie, że i ja nie inaczej zrobię.

Pani Erazmowa.

Zamiast pleść niewiedzieć co, wołałybyście ogarnąć się trochę.

Tekla.

Doprawdy, droga pani, ja nie mogę go tak przyjąć po prostu. To będzie nudne, śmieszne, — ani ja jemu się nie podobam, ani on mnie, — takie rzeczy robią się z nienacka, — a chcieć z umysłu podobać się to wszystko jedno, co postanović sobie prowadzić wesolą rozmowę — zamiast śmiechu przychodzi wtenczas ziewanie i wykrzywia wszystkie gęby, tak iż brzydko patrzeć.

Klara.

Czy wiesz, Tekluniu, jaka myśl mi przychodzi? — Wszak on nas obudwóch nie zna Ciebie zapomniał — bo cię widział dzieckiem — mnie nie widział wcale; gdybym też ja go przyjęła na twojem miejscu?

Pani Erazmowa.

Panno Klaro bardzo proszę!

Tekla (*biegnie do pani Erazmowej i całuje ją*).

Moja droga pani! proszę się nie sprzeciwiać. To koncept wyborny — akceptuję go — przyjmuję najkompletniej. — Będę miała sposobność przypatrzeć się mu z boku i poznać trochę mojego przyszłego pana i męża. Gdyby wiedział, że ma przed sobą swoją przyszłą

dozgonną przyjaciółkę, schowałby się, jak ślimak do skorupy, i nicbym nie dostrzegła. Wszak pani pozwalasz, nieprawdaż? (*Pani Erazmowa rusza ramionami*) A, pozwala, pozwala, twoja dobra mama — i moja także!

Pani Erazmowa.

Róbcie sobie, swawolnice, co chcecie.

Tekla.

Tego niedość, droga pani, — trzeba jeszcze do naszej koalicji należyć. To nieprzyjaciel potężny, uzbrojony całym zapasem górnych frazesów, — to zagranicznik, który już może przechodzić przez ogień i wodę.

Pani Erazmowa.

No dobrze, dobrze.

Tekla.

I pani nie zdradzi nas?

Pani Erazmowa.

Nie, nie zdradzę.

Tekla.

I nie podmówi nikogo do zdrady?

Pani Erazmowa.

Ale mówię, że nie.

Tekla (*wyciągając rękę*).

Słowo honoru?

Pani Erazmowa.

No słowo, słowo. (*Tekla całuje ją w rękę*). Ale jeżeli z ojcem przyjedzie?

Klara.

A prawda, a.

Tekla.

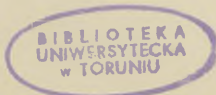
Ja wten moment wyprawiam list do szambelana i uprzedzam go o całym spisku. On się zgodzi i pomoże nam, jak go zaknę. Tymczasem, moja panno Klaro, mianuję cię od tej chwili Teklą Kaliniecką, dziedziczką Kaliniec, pupilką jaśnie wielmożnego szambelana Dalszyckiego i narzeczoną pana Felixa Dalszyckiego, znakomitego filozofa, który z absolutnego stanowiska zapatruje się nawet na bifszyk z kartoflami.

Klara (*z powagą*).

Będą posłuszną — ale długoż ja mam być tobą?

Tekla.

Do dalszego rozkazu.



Klara.

A cóż się z tobą stanie?

Tekla.

Ze mną? poczekaj — no, ja tymczasem zniknę z horyzontu, i ze stanowiska, jakie sobie obiorem, obserwować będę mojego przyszłego małżonka.

Pani Erazmowa.

Słuchaj — no, Teklusi! to niebezpieczna gra! a jeżeli jemu Klarcia się spodoba?

Klara.

A prawda, prawda, jeżeli ja mu się spodobam?

Tekla.

Ha! to upadniecie do nóg mamie, potem papie, poślecie po dyspensę i pobierzecie się.

Klara.

A ty?

Tekla.

Ja? — (z powagą) ja podam rękę memu opiekunowi i będę waszą matką.

Pani Erazmowa (śmiejąc się).

Oj ty kochana swawolnico! na to on nie pozwoli.

Klara.

Ani ja! Jabym cię miała w rękę całować?
Nic z tego, wolę być twoją siostrą.

Tekla.

No, no, obaczmy jak to będzie, tylko
teraz do dzieła. (*Wchodzi ekonom*). A otóż
i pan ekonom, jak gdyby na zawołanie. Do-
brze, żeś pan przyszedł, panie Pszenickiewicz.
Trzeba mi konnego posłańca. — Niech Michaś
siada na konia i będzie gotów.

SCENA III.

Też i Ekonom.

Ekonom.

Dobrze jasna pani. (*Chce iść*).

Tekla.

Panie Pszenickiewicz (*Ekonom wraca*).
Sztraf zapłacisz, już mówiłam, jak mnie będziesz
nazywał jasną panią. Teraz jestem ciemną
panną, raz, żem się opaliła, a potem wiesz, że
mam być żoną niemieckiego filozofa.

Ekonom (*śmiejąc się*).

Wolne żarty pani, na djabła nam Niemca;

ja owszem slyszalem, ze pani ma isc za pana Felixa, syna naszego pana szambelana i ze on ma tu za chwileke przyjechać; przy tej tedy uroczystosci chcialem, jak mi powinność moja każe, powinszowac jasnej... to jest laskawej pani.

Tekla.

Potem powinszujesz, panie Pszenickiewicz, a teraz idź, idź, i dawaj mi posłańca.

Ekonom (*idzie ku drzwiom skrobiąc się w głowę*).

Idę, idę.

Tekla.

Ale z czemże tu przyszedłeś, panie Pszenickiewicz, może mi miałeś co innego powiedzieć?

Ekonom (*wraca*).

Właśnie chciałem donieść pani, żeśmy zniwa skończyli — możemy przy tej uroczystości...

Tekla.

Przy jakiej uroczystości?

Ekonom.

A jużci spodziewanego przyjazdu jasnie

wielmożnego pana, możeby ludziom okrężne sprawić?

Tekla.

Dobrze, dobrze, sprawić, i sute! Ja już myślałam o tem i dałam już niektóre rozkazy Kluczkowskiej. Tylko, żeby muzyka była, panie Pszenickiewicz, i to koniecznie.

Ekonom.

Ach! to się rozumie. Byłem u arendarza, jak mi powinność moja każe, i kazałem mu sprowadzić z miasteczka żydków.

Tekla.

I będą?

Ekonom.

Będą, właśnie dziś kiedym kończył śniadanie, jak mi powinność moja każe, dał mi znać arendarz, że będzie trzech.

Tekla.

To dobrze! (*Pomyślawszy*). Tak, tak, zrobię. (*Głośno*). Idź że pan teraz po posłańca i przychodź przez garderobę do mego pokoju: mam ci jeszcze wiele różnych dać dyspozycji.

Ekonom.

Natychmiast spieszę.

Tekla.

A potem względem okrężnego rozmów się z Kluczkowską. (*Figlarnie*). Tylko powiedz jej, niech cię wprzód poczęstuje, ma doskonałą anyżówkę.

Ekonom.

O! powiem, jak mi powinność moja każe. (*Wychodzi*).

Klara.

O tem pewno nie zapomni.

Tekla.

Teraz spieszę do pisania. Ale cicho! jakieś klaskanie z bicza!

Klara.

To pewnie on. (*Biegną obie do okna, pani Erazmowa za niemi*). Cicho! już turkot słyhać, jedzie, jedzie!

Tekla (*patrzy z interesem w okno*).

Patrz Klarcu! doprawdy, że przystojny Jak zgrabnie wyskoczył z koczyka, a wiesz, że nie ma 'wcale pedanckiej miny?

Klara.

Mamo! on do wujaszka podobny!

Pani Erazmowa.

Prawda, przypomina.

Tekla.

I bardzo. O! tem lepiej! Jak uprzejmie wita się z ekonomem; jest jakiś staropolski wdzięk i szczerosć w jego uśmiechu i twarzy. Jeżeli i serce staropolskie zostało, to i ucztą się znajdzie. (*Przypatruje się*).

Pani Erazmowa.

Zamyśliłaś się? to może już obejdzie się bez figla i Klarci miejsca swęgo nie ustąpisz?

Tekla.

O, nie, nie — i owszem. Tem bardziej teraz chcę poznać go, niepoznana. — Pójdźmy Klarciu, poinformuję cię i nauczę twojej roli.

Klara.

Nie potrzeba, mam już swój plan, ale pójdźmy.

Tekla (*odchodzi z Klarą*).

Pani droga! tylko sekret, a ludziom ja przykażę sama.

Pani Erazmowa.

Szczęśliwy mój bratanek, że mu się taki skarb dostanie. Byle tylko był jej godnym.

SCENA IV.

Pani Erazmowa, Ekonom, Felix.

(*Wchodzą Ekonom i Felix*).

Ekonom (*we drzwiach*).

Pani dobrodziejko! syn jaśnie wielmożnego szambelana, jak mi powinność moja każe. (*Wychodzi*).

Felix (*przystępuje i całuje jej rękę*).

Więc to moja kochana ciotka.

Pani Erazmowa.

Ja, ja mój drogi Feliksie!

Felix.

Co to za szczęście, po tylu latach, (*przypatruje się*) ale nigdybym cioci nie poznał!

Pani Erazmowa.

Wierzę. Jeszcześ na drewnianym koniu jeździł, kiedym za mąż poszła i w Galicyi zamieszkała; odtąd nie widziałam cię, mój drogi Feliksie; zmieniliśmy się — oboje, i ja bym cię nie poznała. — Tyś wyrósł, zmężniał, a ja zestarzałam się.

Felix.

Ale gdzież to moja kuzyneczka? gdzież to Klarcia? wszak Klarcia, droga ciociu?

Pani Erazmowa.

Tak się nazywa moja córka.

Felix.

Gdzież ona jest? radbym ją prędyj poznać.

Pani Erazmowa.

Moja córka (*na stronie*) tylko com się nie zdradziła. (*Głośno*). Moja córka wyjechała w sąsiedztwo, zapewne jutro wróci. — Ale nie pytasz się o gospodynię tego domu? Czy ci niepilno ją poznać?

Felix.

Gdzie tam, niepilno, owszem — niecierpliwiłem się, rwałem się z domu, tak gorąco pragnąłem obaczyć tę, której już pierścień noszę, nie znając jej wcale. Ale gdym już dojeżdżał tu, jakiś mnie niepokój ogarnął, i przyznam się cioci, że mi niezmiernie kontent, że jej tu nie ma w tej chwili; trochę obędę się, zbiorę myśli. — Bo doprawdy i pragnę ją widzieć i boję się.

Pani Erazmowa.

Nie aprobowałżebyś chęci twego ojca?

Felix.

I owszem, i owszem, wszystkie poboczne okoliczności składają się dobrze. Panna młoda, słyszałem, że pięknie edukowana, musi być i niebrzydka — chociaż jej nic a nic nie pamiętam. Ale ktoś wie, jak ja jej się wydam — jak ona mnie się wyda. Może idea, jakąm sobie o niej wyrobił, nie skryształizuje się w jej osobie....

Pani Erazmowa.

Ach, mój Feliksie! tylko ze mną mów po prostu, bo cię nie rozumiem.

Felix.

To jest, mówiąc po prostu, może się sobie nie spodobamy. A w takim razie byłoby mi bardzo przykro, bo widzi ciocia, że zapatruję się na małżeństwo ze stanowiska...

Pani Erazmowa.

Już z jakiego chcesz zapatruj się stanowiska na to małżeństwo, a nie zapominaj, jak bardzo ojciec sobie życzy, żeby przyszło do skutku. I ty także będziesz tego pragnął, jak

ją poznasz. Oprócz wdzięków, gruntownej dobroci serca, najstaranniejszej edukacyi, panna Tekla ma jeszcze talenta, mogące uprzyjemnić życie. Gra prześlicznie.

Felix (*przerzucając nuty*).

Widzę, że tu leżą najpiękniejsze kompozycje i dosyć trudne. To mi bardzo miło, ja lubię muzykę.

Pani Erazmowa.

A jak maluje!

Felix.

Doprawdy? to jeszcze lepiej, i ja maluję, i cenię bardzo wysoko tę sztukę. (*Idzie do obrazu*). Czy to robota panny Tekli?

Pani Erazmowa.

I jej kompozycya.

Felix (*przypatruje się*).

Ładnie, bardzo ładnie! Jaka dobra grupa, jaki świetny koloryt! jak cudnie umieszczona ta prześliczna dziewczeczka z konewką; jak widać, że się jej nie chce iść po wodę. — Co to za wyraz w tej twarzy! czy nie portret to? bo nadzwyczajnie wiele natury.

Pni Erazmowa.

Zgadłeś, ale nie na tem koniec. Zajmuje się ona jeszcze poważniejszymi rzeczami. Patrz, jaki to dobór dzieł! a w wielu miejscach znajdziesz jej ołówki i uwagi trafne i prawie nad jej wiek, a wszystko to jej nie przeszkadza być najlepszą gospodynią.

Felix (*przerzucając książkę*).

To ostatnie, to mnie trochę przeraża — ciociu, jeżeli jest gospodynią taką, jak się u nas zwykle ta idea bierze, i jak przechodzi do rzeczywistości. U nas dobry gospodarz ten, kto upornie stoi przy dawnem, kto nie chce ani kroku naprzód postąpić z wiekiem i wejrzeć ze stanowiska filozoficznego...

Pani Erazmowa.

No, no! daj no, pokój tym teoryom. Ja cię upewniam, że ona cię nauczy, jak kochać i cenić tych ludzi, którzy część swojej pracy i nam muszą udzielić. (*Wchodzi Klara w rannym czepeczku, chustką przewiązana, z pękiem kluczków*).

SCENA V.

Ciż i Klara.

Klara (*kłaniając się dość niedbale i rubasznie*).
Zapewne pan Felix?

Felix (*do ciotki*).

Więc to panna Tekla? (*Ciotka potwierdza znakiem. — Na stronie*). O! do djabła, wyobrażałam ją sobie daleko ładniejszą.

Pani Erazmowa (*do Felixa*).

Przywitażę ją. (*Felix kłania się*). Kochana Tekluniu, prezentuję ci syna mego brata. Wiesz jak mój brat byłby szczęśliwym, gdyby ci się pan Felix podobał, gdybyś go znalazła takim, jakim ci go opisał.

Klara.

No, zupełnie takim.

Felix (*prędko*).

Bardzom pani wdzięczny.

Klara.

A za cóżeś mi pan wdzięczny, kiedym chciała powiedzieć, że sobie więcej wyobrażała.

Felix (*na stronie*).

Przynajmniej nie żenuje się.

Klara.

Ale to tak, zapewne z drogi, została jeszcze panu niemiecka sztywność. Jak pan się z nami obędzie, to może mi się lepiej wydasz. (*Rzuca klucze na stół*).

Felix (*na stronie*).

Co tu na to odpowiedzieć? — a jaki pęk kluczów!

Pani Erazmowa (*do Klary*).

Ale fe, dajesz mu o Tekluni najgorsze wyobrażenie, Klarcu.

Klara (*do matki*).

Nie, mamo, nie — to tak z planu. (*Głośno*). Czego-żeś się pan nauczył tam za granicą przez tyle lat? zapewneś pan, tak jak i inni, bąki zbijał, kamizelki i halsztuki kupował, za kulisy wdzierał się, do wód jeździł, może goniąc jaką mężatkę i durząc ojca, że jedziesz słuchać ciekawych semestrów. I teraz przyjechałeś pan mydlić nam oczy filozoficznymi frazesami, którycheś tam nałowił.

Pani Erazmowa (*na stronie*).

Co za waryatka!

Felix (*na stronie*).

Ale to można zgłupieć doprawdy — śliczne przywitanie.

Klara (*siadając*).

Cóż? pan nie odpowiadasz? przecież choć tyle grzeczności musiałeś się pan nauczyć z tej zagranicznej edukacji, że należy odpowiedzieć kobiecie, kiedy do pana mówi.

Felix (*na stronie*),

To djabeł jakiś, nie kobieta. (*Głośno*).
Przyznam się pani, że tu bardzo trudno odpowiedzieć.

Klara.

I nie dziw, bo to wszystko prawda, com powiedziała. — Nie wiem, jak dalece się to stosuje do pana — ale musi się stosować, bo ilu tylko znam tych zagranicznych mędrków, wszyscy na jedno kopyto. Ale siądź że pan, cóż pan tak stoisz, jak student jaki.

Felix (*bierze kapelusz*).

Bo też powiem pani, że jest od czego zgłupieć. (*Do ciotki*). O moja ciociu, ja ztąd drapnę natychmiast i ojca się nie do czekam.

Pani Erazmowa.

Dajże pokój, — przypatrzo się lepiej. (*Na stronie*). Cóż to za szalona dziewczyna. (*Wychodzi*).

Klara.

Otóż widzisz pan, i to niegrzecznie, żeś tam coś szeptał z ciotką — kiedy kto ma co rozumnego powiedzieć, to mówi głośno. Pan zapewne mówiłeś, że masz ochotę ze mną się żenić i nie wiesz — jak tu przystąpić do oświadczenia, żeby to było uczenie i filozoficznie. Zemną, kochany panie, trzeba po prostu.

Felix.

O! co to, to widzę.

Klara (*ruszając ramionami*).

Ale co pan widzisz? pan nic nie widzisz, ja panu ręczę, że tu panu ciemno, jak w rogu. Gdybyś pan co widział, tobyś wiedział, co po-

wiedzieć. Bo jużci nie sędzę, żebyś nie umiał się znaleźć, przepędziwszy tyle lat za granicą i wykspensowawszy ojcu tyle pieniędzy.

Felix (*na stronie*).

A to już rzecz upokarzająca. Trzeba się odcinać, nim się urwę i ucieknę.

Klara.

Ja zaraz pana przekonam, że pan tu nie wiele widzisz. Powiedz mi pan, za kogo mnie pan masz? już z miny i gościw pana widzę, że sam nie wiesz, co o mnie myśleć. Panu się zdaje, że sam zła, gadatliwa, kapryśna, nieuległa. Cóż pan tak kiwasz głową, jak gdybyś potwierdził to, co mówię.

Felix (*z ironią*).

Nie śmiem zaprzeczyć.

Klara.

Powiedz pan raczej, że nie śmiesz potwierdzić! takiego nabyłeś przekonania. A tymczasem, widzisz pan, to wszystko nieprawda.

Felix (*kłania się*).

Ponieważ pani tak mówisz.

Klara (*powstając*).

Panu zdaje się, że sam tak sobie, szlachcia-

neczka wiejska, która nic nie widziała, nic nie umie, tylko cały dzień kluczami dzwoni. Pan znowu kiwasz głową, jak gdybyś potwierdzał. Otóż widzisz pan, to znowu nieprawda. Patrz pan, jak się panu podoba ta grupa wiejska, ten staruszek, ta kobieta, a szczególnie ta dziewczyna.

Felix.

Dziewczyna cudna.

Klara.

A prawda, że cudna, bardzo cudna?

Felix.

Jużem to widział i admirował; (*na stronie*) przynajmniej, że dla siebie nie żałuje pochwały.

Klara.

Otóż to moja robota i kompozycja. Koloryt, rysunek, rzut światła i cieniów, wszystko nie tak złe, jakbyś pan myślał, pan, coś by za granicą i dlatego już na swoje i patrzeć nie chcesz.

Felix.

A któż pani powiedział, że ja tak myślę? i owszem!

Klara.

Bo panowie tak zwykle myślą, jak który przeleci wagonem przez Niemcy, chlipnie wody z Renu, zakatarzy się na której górze szwajcarskiej, przywiezie na surduciku trochę kurzawy z jakiego obrazu Tycyana lub Tintoreta, to już patrzy na nas z góry, odyma wargi i gardzi wszystkim swoim.

Felix.

Ale zmiłuj się pani... (*Na stronie*). A to jakieś oryginalne stworzenie!

Klara.

Pan może także myślisz, że nie umiem po francuzku. Bo to panowie nie wszyscy umiecie po francuzku, chociaż wszyscy umiecie się popisywać z tym językiem, dla tego, że macie więcej próżności od nas.

Felix (*uśmiechając się*).

Czy wie pani, że takiego kazania nie spodziewałem się usłyszeć?

Klara.

O! bardzo wierzę. Pan myślałeś sobie, jadąc do mnie: byłem tyle lat za granicą; widziałem tyle okien różnych uniwersytetów, tyle

drzwi rozmaitych akademii; byłem w Egen, w Marienbadzie, nawet byłem w Greifenbergu, zrobię na niej ogromne wrażenie, zadziwię, zachwycę. A tymczasem, widzi pan, anim się zadziwiła, ani zachwycała. I owszem. powiadam panu więc, żeś mi się nie bardzo podobał.

Felix (*żywo*).

A ponieważ tedy pani wprowadziłaś mnie sama na tę drogę otwartości, to i ja powiem pani wręcz, żeś mi się nie bardzo podobała. Dałem wprawdzie słowo memu ojcu, że będę się starał zyskać względy pani i od układów jego nie odbiegnę, ale widzę, że mi to będzie niepodobnem. Mój ojciec opisał mi panią inaczej, niżelim panią zastał.

Klara.

Więc pan mnie znajdujesz nieładną?

Felix.

O! tego nie mówię.

Klara.

Ograniczoną?

Felix.

Wcale nie, i owszem widzę, że pani masz dużo rozumu.

Klara.

Cóż tedy, złą?

Felix.

Złośliwą tak — ale złą — tego jeszcze nie wiem, na to trzeba czasu.

Klara.

To pewnie gadatliwą.

Felix.

Za prędko mówiącą, to prawda — ale nie gadatliwą — gadatliwym ten jest, co papie nie do rzeczy — a w pani tego nie spostrzegłem.

Klara.

Więc bez edukacyi?

Felix.

O tem także sądzić nie mogę. Widzę tu piękne malowidło, nuty wyborne, książek dobór wcale interesujący. Być więc może, żeś pani odebrała staranną edukacją.

Klara.

Cóż wreszcie? niegrzeczną? zbyt prawdopodobną? czy tak?

Felix.

Przyznam się pani, że ten sposób, jakim mnie pani przyjęłaś, czy on jest manierą pani

naturalną, czy udaniem umyślnem, aby mnie dstręczyć, nie mógł mnie ująć i oczarować.

Klara.

Więc pan, filozof, takim jesteś miłośnikiem prawdy i otwartości? — Więc gdytym była pana przyjęła gładziutko, pozwoliła panu pleść duby smalone o zagranicy, wszystkiemu uwierzyła, admirowała pana, wszystkie dodatki i kompozycye pana stwierdzała głośnem: ach! jak to tam cudne! quel pays! mon Dieu! que c'est beau! tobyś pan mnie był pokochał? byłbyś się oczarował? — przyznam się panu, żem lepszą miała opinią o pańskiej filozofii.

Felix.

Ale co tu filozofia ma do czynienia? bez filozofii widzę, że to stanowisko....

Klara.

A, a, dobrze, żeś mi pan przypomniał. Proszę też pana, z jakiego stanowiska pan spoglądasz teraz na mnie?

Felix (z niecierpliwością).

Jeżeli mam prawdę powiedzieć, to spoglądam na panią z najgłępszego stanowiska w świecie, na którym mnie mój ojciec postawił.

Klara.

O! jeżeli tak, to wytłómacz że się pan przed swoim ojcem, — a ja pana formalnie nie chcę.

Feliks (*porywa za kapelusz*).

Tłómaczenie krótkie — jak i pani — ja także najformalniej nie chcę, — i żegnam panią.

Klara.

O! za pozwoleniem! możemy się nie chcieć jako narzeczeni, ale nie jako sąsiedzi. Pan zostaniesz u mnie na okrézmem, doczekasz się tu swego ojca i wytłumaczysz mu swoje powody, tak, żeby go nie zmartwić i nie od razu zniszczyć tę jego myśl, którą on powziął od dawna. Tego ja sobie życzę i o to proszę pana, bo ojca pańskiego bardzo szanuję i kocham. A teraz przepraszam, że muszę wyjść do gospodarstwa. Zabaw się pan tu chwilkę, nim wrócę. Oto masz pan Goethego, masz Jana Pawła, masz Bajrona — a także niektóre polskie książki, których pan pewniuteńko nie znasz. (*Kłania się*). Au revoir, monsieur le philosophe! (*Wybiega wzięwszy klucze*).

Feliks (*sam*).

Co to za szczególny djabelek! nie . rozu.

miem, czy to udanie, czy to swawola, czy to prawda? ale bądź co bądź, to żona nie dla mnie. Cobym robił z takim oryginałem? Musiałbym rozpocząć jej edukacją, żeby ją postawić na tem stanowisku; (*przypatruje się obrazowi*) i to z pod ręki takiej klucznicy wyszło tak cudne stworzenie! (*Wchodzi Tekla, ubrana jak wiejska dziewczyna, z konewką w ręku*).

SCENA VI.

Feliks i Tekla.

Tekla (*z uśmiechem*).

Przypatruje się — żebyś też mu się podobiała. (*Chrząka*).

Feliks (*na stronie*).

A to co? jakaż to ładna dziewczeczka! (*Pogląda na nią i na obraz*). Ale co za podobieństwo! (*Głośno*). Czego chcesz, moje dziecię?

Tekla.

E, proszę pana, ja myślałam, że tu pani jest — ale widać, jej tu nie ma! to ja sobie pójdę.

Feliks (*zbliża się*).

Poczekaj, poczekaj kochanko! pani zaraz przyjdzie. (*Na stronie*). Śliczna jak róża.

Tekla.

Przyńdzie? O pan sobie tak mówi, że przyńdzie. — A może nie, to ja próżno będę czekała.

Feliks.

Ale mówię ci, że przyjdzie. (*Na stronie*). Co za wdzięk w tej prostocie! jak żyję, nic podobnego nie widziałem. (*Głośno*). Cóż ty masz za interes do pani?

Tekla.

E, proszę pana, to wedle onego malunku kazała mi pani przyjąć, żeby tak z konewką stać, jak tam ona dziewczeczka stoi. (*Śmieje się*). Pani ze mnie maluje, proszę jegomości.

Feliks.

I doskonale cię pani odmalowała; (*bierze jej rękę*) bo też nie mogła znaleźć ładniejszego modelu.

Tekla.

O! czyż to ja taka przysadkowata, jak mondel? Co też jegomość za głupstwo powiedział, —

Feliks (*puszcza jej rękę*).

Szkoda, że taka ograniczona. (*Głośno*).
Więc ty tutejsza jesteś, dziewczeczko?

Tekla.

A jużci, że tutejsza. Bartoszowa wnuczka
— a jegomości na co to?

Feliks.

Tak, chciałem się dowiedzieć, z kąd tu taka
śliczna dziewczyna. (*Chce ją głaskać, ona
odpycha jego rękę*).

Tekla.

O! co bo jegomość robi! albo to jegomość
nie może tak z daleka na mnie patrzeć? Mnie
to wszyscy mówią, że śliczna — ale żaden
nie bierze tak pod brodę — kto to widział? —
raz jeno Wojtek chciał mnie tak pogłaskać,
alem go trzasnęła w papę, że aż mu się iskry
z oczu posypały.

Feliks (*odstępuje; na stronie*).

Ha! do diabła, jaki gbur dziewczka! (*Przy-
patruje się*). A co za szkoda! miły Boże!
żeby to okrzesać, coby to było!

Tekla.

E, jegomość tam coś sobie gada pod no-

sem, a pani nie przychodzi. (*Bierze konewkę*). Już pono malunku dzisiaj nie będzie — to ja sobie pojdę.

Feliks.

Nie idź, nie idź — obaczysz, że pani przyjdzie. —

Tekla.

A jak jegomość łże — a nie przyjdzie? (*sromając się*) a ja tu z jegomością sama jedna gadam, jakby kto obaczył, toby Bóg nie wie co pomyślał.

Feliks.

A cóżby pomyślał, moja miła?

Tekla.

O! jeszcze jakby posłyszał, że mnie jegomość nazywa: moja miła; ej dalibóg ja już sobie pojdę.

Feliks (*bierze jej rękę*).

Czyż ci tak przykro ze mną gadać.

Tekla.

E, bo ni — tylko...

Feliks.

Tylko co?

Tekla.

Tylko jakbym ja długo z jegomością gadała, tobym może chciała znowu pogadać — coby wtenczas było z Wojtkiem?

Feliks.

Co tam Wojtek (*przyciska jej rękę*) moja ty droga!

Tekla.

Oj! kiedy jegomość tak mi rękę ciśnie.

Feliks.

Masz bo taką śliczną rączkę, jak gdybyś nic nie robiła.

Tekla.

Ej! gdzie zaś nie robiła? tylko com przyszła od sierpa. I dla tego, że mi pani kazała przyjść do onego malunku. A jak jegomość śmiesznie patrzy na moją rękę, jakby chciał obaczyć, czy nie ma na niej pierścionka. (*Pokazuje mu rękę*). O nie ma nic — albo to ja zaręczona, czy co?

Feliks.

Więc Wojtek tak tylko, z daleka, na ciebie ogląda?

Tekla.

A jużci z daleka — niechnoby przyszedł z blizka, toby dostał. (*Pokazuje policzek*).

Feliks (*na stronie*).

Znowu — co to za szkoda (*pogląda*) napatrzeć się na nią nie można. (*Głośno*). Jak się nazywasz, moja droga?

Tekla (*z kokieterią*).

A na co to jegomości?

Feliks.

Żebym wiedział, jak cię nazywać.

Tekla (*figlarnie*).

Alboż i tak już jegomość mnie nie nazywa moja miła! moja droga!

Feliks.

Boś bardzo miła i droga — ale jeszcze jak będę znał twoje imię.

Tekla.

A jakie? co na chrzcie świętym, jegomość chce?

Feliks.

Co na chrzcie świętym.

Tekla.

Nazywam się Rózia — aha! widzi jegomość, jakie śliczne imię!

Feliks (*chwytając obie jej ręce*).

Śliczne, śliczne, jak ty sama. — Umiesz ty czytać moja Róziu?

Tekla (*odstępując*).

Ech! albo to ja głupia — co też jegomość gada? — a mnie to na co?

Feliks (*na stronie*).

Otóż to przekłeta ciemnota, takie cudne stworzenie! taka perła w śmieciu! — to są, to są właściwie grzechy naszego żywota.

Tekla.

Już, widzę, jegomości sprzykrzyło się ze mną gadać! Jegomość tam sobie pomrukuje, jak kot na przypiecku — pani nie ma — to ja już sobie pojędę.

Feliks.

A tobie nie sprzykrzyło się.

Tekla.

A jużci, że nie. Jegomość taki, jakby to powiedzieć... ładniejszy od naszego pana

wójta, który mnie także gada, zem ja śliczna; (*przypatruje się*) bo nawet i Wojtek nie umył się do jegomości.

Feliks.

Więc i tobie tak miło ze mną, jak mnie z tobą?

Tekla.

A jużci tak.

Feliks.

I kochałabyś mnie, moja ty droga Róziu?

Tekla (*śmiejąc się*).

E, jaki jegomość śmieszny, że takie głupstwa gada — alboż to jak komu miło z nim pogadać, to zaraz brać się do kochania? Da libóg, że ja pojńdę, powiem to pani, toż to będzie się śmiała.

Feliks (*zatrzymuje się*).

Ale fe! Róziu! Któż takie rzeczy rozgaduje? — czy to co złego, żebyś mnie kochała?

Tekla.

A jakżebym ja jegomości mogła kochać, bez księdza? — Aj! aj! żebym to ja Wojtkowi powiedziała, toby jegomości dobrze boki kijem wygrzmocił (*z umizgiem*). Ale nie bój się

jegomość ja nie taka; nie powiem nikomu; boby mi było żal, żeby się z jegomości wszyscy we dworze śmieli.

Feliks.

Moja ty miluchna Róziu! z ciebie wielka filutka.

Tekla.

Aha! albo to źle?

Feliks.

Nie, będzie źle, tylko pocałuj mnie. (*Chce ją objąć*).

Tekla (*odskakując*).

Gwałtu!

Feliks.

No cicho! cicho! idź już sobie — ktoś nadchodzi. (*Na stronie*). O! tobym wpadł; a oderwać od niej oczów nie mogę.

Tekla.

Acha! jak się jegomość zląkł! No, już nie będę krzyczała — tylko mnie jegomość nie całuj — a kiedy to już jegomości tak koniecznie miło, to mnie jegomość pocałuj, ale w rękę.

Feliks.

Z ochotą, moja droga, nawet cię w rękę pocałuję. (*Bierze jej rękę, ona z początku wzdraga się, potem wreszcie pozwala. — Feliks całuje jej rękę.*)

Tekla (*odskakując — bierze konewkę.*)

Acha! co teraz to powiem w całej wsi, że tam przyjechał jaki taki śmieszny pan, co chłopkę chce kochać i w rękę całuje. (*Wybiega śmiejąc się.*)

Feliks (*sam.*)

A tu, widzę, jakieś gniazda na djablice! Co za filutka proszę! a co za cudne stworzenie! jaka to twarzyczka! jakie oczy, jaki uśmiech, co za rączka — doprawdy, że nic podobnego nie widziałem, w głowie mi się mięsza — rozumu, figłów, kokieteryi pełno — gdyby tu edukacya (*patrzac na obraz*), śliczna! śliczna! — ale bardzo ładna! — i ja miałbym się żenić z tamtą? O, sługa unizony, za nic! (*Po chwili*). Ha! żeby tak gdzie ustronny domeczek — jakaś ładna pasieka... (*Słucha*).. Ktoś przyjechał — (*idzie do okna*) — to mój ojciec, chwala Bogu, wyzwolę się jakoś z tej biedy. (*Porywa za kapelusz i wychodzi*).

AKT II.

Przy tylnej i głębokiej kurtynie, reprezentującej ogród, stoją stoły zastawione. — Z lewej strony wystawa domu z drzwiami, przed nią stoją krzesła.

SCENA I.

Szambelan z fajką, Tekla w bluzie, i Klara.

Szambelan.

Jak wy z tej swawoli wybrniecie, to do-
prawdy nie wiem.

Klara.

Już niech się wujaszek nie turbuje, tylko
proszę nas nie zdradzać. Szkodaby takiego
początku — żeby wujaszek był widział jego
minę wczoraj, jakem mu cięła słowa prawdy,
jak siekierą.

Tekla.

A jak się krzywił, kiedym wśród najtkli-
wszych jego spojrzeń wyrwała się z jakimś

prawdziwie chłopskiem wyrażeniem — jakby go kto zimną wodą oblał.

Szambelan.

Słyszałem, słyszałem — ładnieście go przyjęły — biedny chłopiec! i mnie staremu łączyć się z takimi swawolnicami, żeby go dręczyć.

Klara.

Ale za to, mój wujaszku, jaki szczęśliwy będzie potem.

Szambelan.

Tak, jak się dowie, żeście z niego drwiły.

Klara (*cicho do Szambelana*).

Tekluni nie żartem podobał się.

Szambelan (*uradowany*).

Seryo?

Klara (*cicho*).

Ale bardzo seryo.

Tekla.

Co ona mówi?

Szambelan (*do Tekli*).

O! jeżeli to prawda, co mi powiedziała, to chętnie zgodzę się trzymać z wami i podręczyć jeszcze przez dziś mojego chłopaka.

Tekla.

Och! już ja domyślam się, co ona mówiła
— (*grożąc Klarze*) poczekaj!

Szambelan (*bierze jej rękę*).

Tekluniu, i to prawda?

Tekla.

Podobno, mój drogi opiekunie!!

Szambelan (*ściska ją*).

Toż róbcie z nim, co chcecie, ja wasz —
pomagać wam będę obydwoma rękami.

Klara (*klaszcząc w ręce*).

Brawo! wszystko pójdzie dobrze! i powin-
szowania i egzamin.

Szambelan.

A toż znowu co?

Klara.

A, obaczy wujaszek! Co to nas kosztowa-
ło, żeby wszystkich przypuścić do sekretu i
żeby się sekret utrzymał.

Szambelan.

Tak, to sekret de la comedie!

Klara.

A jednak i dla wujaszka będą niespo-
dzianki, jak tego zdrowa krytyka wymaga.

Szambelan.

Ale gdzie to Feliks? cały ranek nie widziałem go.

Klara.

Wczoraj cały wieczór nie spuszczał oka z obrazu i przypatrywał się portretowi Tekluni. — A dziś, proszę sobie wyobrazić, chodził po wsi cały ranek, od chaty do chaty, wszędzie zaglądał i szukał.

Szambelan.

Kogo?

Tekla (*skromnie*).

A juźci szukał Rózi, proszę jegomości.

Szambelan.

Ładnież to wystawiać jego filantropią na pokuszenie?

Tekla.

I kompromitować to stanowisko filozoficzne, z którego etc. etc. Ale proszę patrzeć! idzie z głową uchyloną — pogrążony w myślach — zapewne nic nie wyszukał. O żadnej Rózi w całej wsi ani słyhu. Ale pójdźmy, Klarcu! ja muszę się wystroić, żebym była jeszcze ładniejsza, niż wczoraj.

Klara.

A ja do gospodarstwa — adieu, wujaszku!
(*wychodzi*).

Szambelan (*bierze ręce Tekli*).

A ty jak mi powiesz?

Tekla.

Do widzenia drogi....

Szambelan.

Cóż? ojczy?

Tekla.

A cóż mam robić — niech i tak będzie!
(*Wybiega*).

SCENA II.

Szambelan i Feliks.

(*Wchodzi Feliks z wolną, z głową nachyloną — z założonemi rękami — szambelan siedzi, i paląc fajkę uśmiecha się*).

Szambelan.

Zkąd że to wracasz, mój synu?

Feliks (*podnosi głowę i zdejmuję kapelusz*).

A to ty, mój Ojczy!

Szambelan.

Gdzieś był? unikasz nas.

Feliks.

Tak, przechadzałem się bez celu.

Szambelan.

Bez celu?

Feliks.

To jest niezupełnie bez celu, i owszem, chodząc przypatrywałem się stanowi tej włości, uprawie gruntów, ogrodów i różne z tego względu przychodziły mi uwagi.

Szambelan.

Uwagi? proszę! ale te uwagi musiały być niezbyt wesołe, bo masz coś minę kwaśną i zafrasowaną — co zwłaszcza w twojem położeniu i w miejscu, gdzie się znajdujesz, nie jest rzeczą zupełnie stósowną. Narzeczony powinien mieć inną minę i fantazyą.

Feliks.

Jużem ci przekładał, mój ojczcie, i prosił, abyś mnie uwolnił i od tego zobowiązania i od tego nazwiska.

Szambelan.

Ależ pozwól sobie powiedzieć, że to głupstwo i dziwactwo z twojej strony.

Feliks.

Gdybyś był świadkiem, kochany ojcze, jak mnie przyjęła, tobyś tego nie nazywał dziwactwem; jakaś taka dziwna maniera, jak żyję, nic podobnego nie widziałem. Taka śmiałość obcesowa w pannie do mężczyzny, któremu się miała podobać! — nie, mój ojcze! to nie dla mnie.

Szambelan.

Cóż tak szczególnego? mówiła prawdę wam wszystkim, adresując ją do ciebie.

Feliks.

Może są tacy, co na te prawdy zasługują; jednak to w jej ustach i do mnie było największą niestosownością.

Szambelan (*powstając*).

Uchodzisz ją, uchodzisz! nie taka ona dzika, jak się zdaje.

Feliks.

Dziękuję! mam rozpocząć jej edukacją, któż mi zaręczy, że się ta edukacja uda? z takim charakterem kobieta! jeszcze mnie zawojuje, jak nic. Słowa mi nie dała wymówić.

Szambelan.

Ale nie głupia, co?

Feliks.

Tem gorzej, że ma rozum, kiedy ten rozum wziął jakiś dziwny kierunek. Tnie tak w oczy, co myśli, jak siekierą.

Szambelan.

A cóż to złego, będziesz zawsze wiedział, co myśli.

Feliks.

Cóż mi ztąd, kiedy to jakieś twarde, nieujęte, ekscentryczne? Bóg wie, z jakiego stanowiska patrzy na stosunek między mężem i żoną. Nie rozumiem, kochany ojczu, jakeś tego nie zmiarkował, że tam słodyczy, dobroci, łagodności charakteru nie ma i za trzy grosze.

Szambelan.

At! to nieprawda! tak ci się wydała, jeszcze jej nie poznał. Rozpatrz no się lepiej.

Feliks.

Doprawdy, nie mogę się tak ryzykować. (*Zdejmuje pierścionek*). I bądź łaskaw, drogi ojczu, oddaj jej ten pierścionek, a mój odbierz. Na słowo twoje, o dwieście mil, zrobiłem niby-to zaręczyny z osobą nieznaną, i teraz żałuję, że się tak związałem. A oprócz tego, ona mi wyraźnie powiedziała, że mnie niechce.

Szambelan.

A mnie mówiła, żeś się jej podobał.

Feliks (*żywiej*).

Upadam do nóg! ale ona wcale mnie się nie podobała.

Szambelan (*seryo*).

Słuchajno! robiłem dotąd wszystko, coś chciał; dawałem ci pieniędzy, ileś chciał; nie widziałem cię ze sześć lat, aby dogodzić twojej fantazy wałęsania się za granicą. A ty teraz od pierwszego niweczysz moje najdroższe projekta!

Feliks.

Chciałbym im z duszy dogodzić, ale cóż! kiedy mnie coś od niej odpycha; przytem ja z innego stanowiska....

Szambelan (*żywiej*).

Dajże mi u djabła pokój z tem stanowiskiem. To jakieś niemieckie stanowisko! jabym chciał, abyś na swoje obowiązki względem mnie spojrział z naszego polskiego stanowiska i był posłusznym. — Rozumiesz, panie filozofie? że mu panna powiedziała słowa prawdy takie, jakieby każda powinna nam recytować, to już zaraz go coś odpycha. Czy

nie ciągnie co tam panicza gdzie indziej? he? czerwienisz się? co to jest? zaraz proszę mi powiedzieć!

Feliks.

Ale wierz mi, kochany ojczy, że nic zupełnie; żem tu przyjechał z sercem najobojętniejszem, niczem i nigdzie nie zajętem. Ale ten sposób kozacki, z jakim mnie panna Tekla przyjęła....

Szambelan.

Głupstwo, mówię ci! obaczysz, co to za pocziwa, dobra, nieoceniona panna. Jakie wychowanie! co tam nauki, talentów....

Feliks.

Być to może, ale nie wiem prawdziwie; gdzie się te wszystkie przymioty podziały, gdy ze mną mówiła, ja widziałem tylko niegłupią wprawdzie, ale bardzo niegrzeczną rubasność.

Szambelan.

Rozpatrz się lepiej, kilka dni tu zabawimy. Jeżeli ta repulsya trwać będzie ciągle, ha! to obaczmy. Ale tak raptownie proszę mi żadnego kroku nie robić, bo mnie tem obrazisz, a co — większa zmartwisz.

Feliks (*z niecierpliwością*).

Jak ojciec każe; ale wiem, że się to na nic nie zda; przytem ona mnie unika, chowa się przedemną.

Szambelan.

A ona mi mówiła, że ty jej unikasz, sam to uważałem, żeś cały wieczór wczoraj tylko na ten obraz wytrzeszczał oczy.

Feliks (*ruszając ramionami*).

Kiedyż ani słowa do mnie nie mówiła.

Szambelan.

Boś był zamyślony, milczący. A cały ranek dziś czegoś po wsi chodziłeś i zaglądałeś do wszystkich chat; znowu się czerwienisz.

Feliks.

Bynajmniej, kochany ojcze. (*Na stronie*). Djabli nadali! żebym ją był przynajmniej znalazł. (*Głośno*). Ale któż ci to mówił, ojcze, zem zaglądał?

Szambelan.

Panna Tekla mi mówiła, i to z takim uśmiechem, jakby się domyślała, dla czego.

Feliks (*na stronie*).

Czy jej ten djabełek nie wypaplał? A tobym wlaź w kabałę!

Szambelan.

I wszystkich to zafrapowało. Ekonom mi także mówił, toż samo i Kluczkowska. No, spacer po wsi, to rzecz zwyczajna, ale to zagładanie do wszystkich chat, to już nie wiem w jakim mogło być celu?

Feliks.

Miałem cel filantropijny, mój ojciec.

Szambelan.

A! to co innego, zapewne dla jakich uwag.

Feliks (z powagą).

Tyle lat nie byłem w kraju. Oko moje przywykło do widoku zamożności ludu wiejskiego, i chciałem porównać, jaki też u nas postęp zrobiono w tej mierze i czy rzeczywiście jest postęp. I dla tego chodziłem od chaty do chaty wypytyując się o szczegóły ich życia, ich zamożności, ich pracy. (*Żywiej*). Bo czas już, mój ojciec, abyśmy i my zastanowili się cokolwiek nad długiem ogromnym, jaki za upłynione wieki wypłacić mamy tej najszybciej części społeczności; abyśmy z wyższego stanowiska spojrzeli na stosunek między panem a włościaninem, i aby ta idea

jednakowego człowieczeństwa we wszystkich, która gdzie indziej już dawno się skryształizowała, i u nas także była czemsiś realnem.

Szambelan (*na stronie*).

Łże panicz filozoficznie. (*Głośno*). Dobrze to jest. Rozumiem cię trochę, choć zaczynasz bredzić po niemiecku i pochwalam twoje filantropijne zamiary. Jednak to mnie zastanawia, żeś przez ten tydzień w domu ani razu nie zajrzał na wieś, i ani do jednej chałupy wiejskiej nie zaglądał.

Feliks (*na stronie*).

Otom się złapał. (*Głośno*). Tak, to prawda, ale powiem ci, kochany ojczy, bałem się, żeby ci jaką uwagą przykrości nie zrobić.

Szambelan.

Aha! to dlatego? a tu?

Feliks.

Tu co innego, tu szukałem....

Szambelan.

A! tu szukałeś, tak, tak, szukałeś; ale cicho! nadchodzi! — Uprzedzam cię, że każdym grymasem nieprzyzwoitym bardzo mnie rozgniewasz.

Feliks (*odchodząc na bok do siebie*).

Otóż te stare uprzedzenia, te nieszczęśliwe dawne układy. Mogę tu paść ofiarą, jak nic. I jeżeli jeszcze nie odszukam Rózi, o której nikt nie umiał ani słowa powiedzieć, to do prawdy, że zdesperuję.

SCENA III.

Ciż, pani Erazmowa i Klara.

(*Wchodzą pani Erazmowa i Klara*).

Szambelan.

Gdzieżeście panie były?

Pani Erazmowa.

Każda przy swojej robocie, kochany bracie.

Klara.

A ja przygotowałam wszystko na przyjęcie naszych gości. Bo to dla mnie najdrożsi goście. Chciałabym, żeby im było wesoło i żeby się dobrze uraczyli. Wyobraź sobie, szambelanie, że kazałam zabić dobrego cielaka, kilka baranów, gęsi kilkanaście i masę prosiąt. (*Pogląda na Feliksa*). Szczególnie prosięta

będą doskonale. Właśnie tam pilnowałam, żeby się dobrze przyrumieniły. (*Do Feliksa*). Czegoż się pan krzywisz? prosięta zapewne nie figurują w waszych perorach o bycie i szczęściu włościan. Wy, moi panowie, w takie szczegóły nie wchodźcie, tylko tak z ogólnego stanowiska umiecie o tem rozprawiać.

Feliks (*zżyma się*).

Otóż znowu poczyna.

Klara.

A jakby przyszło rzeczywiście zajrzeć w ich byt, w ich potrzeby, w ich myśli i wyobrażenia, i skierować je do pracy, do pilności, do ścisłego wypełniania obowiązków, tobyście tego nie potrafili, to już dla was za niskie. Wasza rzecz siedzieć na wygodnej kanapie w szlafroku, w ładnej krymce z kwastem i fajką w gębie, filozofować i skręcać głowy biednym ludziom, którzy tego nie mogą zmiarkować, że w tych hałasach waszych gruntu mało, a zdrowego zastanowienia się nad położeniem kraju nie ma ani za trzy grosze.

Feliks (*do ojca*).

Niechże się teraz ojciec przysłucha, oto jest próbka mojego przywitania.

Szambelan.

A cóż, to bardzo naturalne.

Feliks.

A, jeżeli tu państwo takie rzeczy znajdu-
jecie naturalnemi, to sługa unizony.

Szambelan.

Wszystko, coś powiedziała, kochana Te-
kluniu, jest wielką prawdą; ale do niego się
to nie stosuje. Wiesz przecie, jak troskliwie
chodził dziś po wsi i wglądał w te szczegóły, o
których mówiłaś. Jeżeliś ciekawa, może ci
nawet ważnych uwag udzielić.

Klara (*ironicznie*).

I cóżeś pan odkrył?

Feliks (*na stronie*).

To już nie do wytrzymania! (*głośno*); nic
nie odkryłem, i owszem znalazłem....

Klara (*przerywając*).

Daj pan pokój, podobnoś pan nie zna-
lazł....

Szambelan (*śmiejąc się*).

Tak i ja myślę.

Feliks (*z niecierpliwością*).

Wolno pani mówić, co się podoba. Jesteś pani kobietą i panią tego domu, ale....

Szambelan (*bierze go na bok, seryo*).

Feliksie co to jest?

Feliks (*do ojca*).

Kochany ojcze! oddaj jej ten pierścionek, bo ja go sam oddam i może nie tak grzecznie, jakbym sobie życzył.

Szambelan.

Ani mi się waz!

— — —

SCENA IV.

Ciż i Ekonom, Pani Erazmowa.

(*Wchodzi Ekonom*).

Klara.

A otóż i goście nasi zaczynają się zbierać. Prosimy, panie Pszenickiewicz, prosimy.

Ekonom.

Już z wieńcami idą, pani dobrodziejko, i cała wieś niedaleko. Ja wyprzedziłem moją komendę, bo chciałem, jak mi powinność moja każe, przy tej to jest uroczystości....

Klara (*przechodząc mimo Ekonoma*).

Pal mu pan, pal oracyą. (*Idzie do sto-
łów z matką i tam przypatrują się*).

Ekonom (*do Feliksa*).

I oto właśnie do jaśnie wielmożnego pana
chciałem mowę moję zdyrgować....

Feliks.

Do mnie? a toż zkąd?

Ekonom (*kłaniając się*).

Z powinszowaniem, jaśnie wielmożny pa-
nie, jak mi powinność moja każe, i przy tej to
jest uroczystości, gdy się zbliża chwila takiego
postanowienia jaśnie wielmożnego pana....

Feliks.

Daj mi tam pan pokój, żadna się chwila
nie zbliża,

Ekonom (*kłaniając się*).

I owszem, jaśnie wielmożny panie, zbliża
się, a to przy szczęśliwem zaręczeniu jaśnie
wielmożnego pana z naszą oto kochaną panią.

Szambelan (*zatrzymuje Felixa*).

Ale słuchajże go! — panna Tekla patrzy.

Feliks.

To niech patrzy — ojcie! to doprawdy nie do wytrzymania.

Ekonom (*kłaniając się*).

Ja więc, jak mi powinność moja każe, przy tej to uroczystości przemawiam nie swoim głosem. Ale co się tyczy życzenia szczęścia, pomyślności i długiego życia w parze jaśnie wielmożnem państwu, przy obdarzeniu licznem potomstwem; to jest wszystko moje, tak, jak mi powinność moja każe, i jak w dniu tak uroczystym jest do spełnienia, jaśnie wielmożny panie!

Szambelan.

Dziękuję ci, panie Pszenickiewicz, imieniem mego syna. Widzisz, jak jest wzruszony i nie może ci sam odpowiedzieć.

Feliks (*na stronie*).

Tu oczywiście żartują sobie ze mnie. (*Idzie na prawą stronę, ztamtąd wychodzi organista, a za nim gromada chłopców ze szkółki, którzy okrążają Feliksa girlandą zieloną. Organista całuje go w ramię.*) Kto pan jesteś i czego chcesz?

SCENA V.

Ciż i Organista.

Organista.

Organista tutejszej parafii, jaśnie wielmożny panie! przelożony tych oto dziateczek. Związać dzieci! zwiążcie jaśnie wielmożnego pana tym wieńcem, nim go szczęście zwiąże i krzyczcie wiwat! (*Ciszej do dzieci.*) Krzyczcie, osły!

Dzieci.

Wiwat!

Feliks (*cofając się*).

A to dom waryatów.

Organista (*stając w pozycji deklamuje wiersz*).

Obyś w najdłuższe lata panował!

Te są życzenia tych drobnych dzieci.

Jak cię zielony sznur ten skrępował,

Niech cię tak hymen weźmie w swe sieci!

Krzyczcie dzieci! Veni Creator! (*Dzieci wrzeszczą*). Veni Creator! (*Feliks wyskakuje z girlandy i idzie w głąb. Organista zabiega mu drogę i całuje w ramię*).

Organista.

Może na uczczenie tej uroczystości jaśnie wielmożny pan pozwoli mały egzamin zrobić?

Dobrze, jasnie wielmożny panie! (*Do dzieci*).
Stańcie w ordynku! tak! no, uważać — z
arytmetyki — z czego, osły?

Dzieci.

Z arytmetyki.

Organista.

Wiele jest grzechów śmiertelnych?

Szambelan.

Dosyć, już dosyć, panie Dudziński. Mój
syn dziękuje. (*Organista kłania się, do Fe-
liksa*). Podziękuj-że im.

Feliks.

Za to, że mi uszy rozkrzyczeli i winszują
mi tego, co nie będzie i czego ja nie chcę.

Szambelan.

To nieprawda — chcesz i będzie.

Feliks.

Przyznam ci się, mój ojczel! że to szcze-
gólnego rodzaju tyrania (*słychać muzykę za
sceną*) — a toż jeszcze co? oj! jak fałszywie!
od tych radości wiejskich można rozum
stracić.

SCENA VI.

Ciż i Żydki.

(*Wchodzą żydki, jeden ze skrzypką, drugi z klawirynem, trzeci z basetlą, zbliżają się prędko do Feliksa, którego im ekonom wskazuje i kłaniają się jarmułkami*).

Żydki (razem).

Winszujemy! winszujemy jaśnie wielmożnemu panu.

Feliks.

Czego wy chcecie! idźcie sobie do djab'a.

Żydek (ze skrzypkami).

Jakto, czego chcemy? kto tego nie wie? aj waj! kto tego nie wie! że jaśnie wielmożny pan zaręczy się dzisiaj z naszą panią? ach! co to za pani! jaki jaśnie wielmożny pan będzie szczęśliwy! aj! aj! jaki szczęśliwy! — Nu, niechże ono tak będzie i niechże Pan Bóg da sto lat i całą kopę dzieciów, a takich ślicznych, jak jaśnie wielmożny pan, a takich rozumnych, jak jaśnie wielmożna pani. (*Do kolegów*). Nu! szpil że na wiwat! (*Grają marsza*).

Szambelan.

Dosyć, dosyć, potem zagracie więcej.

Żydki (*przystając*).

Nu, niech będzie potem, co to ma do tego? (*Kłaniają się i idą na bok*).

Feliks.

Proszę państwa! czy to są żarty? czy tu nie ma nikogo, co by mnie od tych prześladowań uwolnił — jeżeli się to nie skończy, ja ucieknę, mój ojciec. (*Słychać śpiew za sceną*).

Szambelan.

Ależ to okrutne, mój kochany.

Klara.

Słyszysz pan te śpiewy? spodziewam się, że pan zaraz będziesz cierpliwszy i nie pogardzisz uroczystością wiejską. (*Kluczkowska przynosi na tacy rozmaite podarunki dla włościan, wianki, wstążki, czepce, pasy itp.*)

SCENA VII.

Ciż, Kluczkowska.

Kluczkowska.

A już idę, proszę pani, te podarunki dla nich tu postawić.

Klara.

Postaw to, Kluczkosiu, tu koło mnie i nie odchódź. (*Kluczkowska stawia na stoliku za krzesłami stojącym*). A potem obacz, czy wszystko jest na stołach i zachęcaj kobiety, żeby jadły. Panie Pszenickiewicz! dopilnuj-że wieśniaków, żeby się ugościli i nie żałujcie sobie.

Ekonom.

Tak zrobię, jaśnie wielmożna pani, jak mi powinność moja każe.

SCENA VIII.

Ciż, Kachna, Tekla i Wieśniacy.

(*Ekonom idzie ku stołom w głąb, wchodzi wieśniacy, na czele Tekla, z wieńcem pszenicy na głowie, obok niej Kachna z wieńcem żyta*).

Feliks (*na stronie*).

Ach! to ona!

Pani Erazmowa (*do brata*).

A, jak jej tak ładnie! (*Kontynują śpiew*).

Chór męzki.

A u naszej pani złocisty podworec,
Z tegorocznych zbiorów będzie złota korzec.

Chór kobiet.

A u naszej pani stoi lipa w polu,
Nie bywa tam nigdy w pszenicy kąkolu.

Chór mężki.

A do naszej pani przyjechał pan młody,
Ona jemu rada, prosi nas na gody.

Chór kobiet.

A z nim nasza pani do stołu zasiędzie,
Odda mu wianeczek i kochać go będzie.

Cały chór.

Nasza dobra pani okężne nam sprawi,
Niech-że młodej parze Pan Bóg błogosławi!

Szambelan.

Jakże-ż, czy cię to nie interesuje?

Feliks (*roztargniony, poglądając na Teklę, która się do niego uśmiecha*).

I owszem, mój ojczcie! i owszem, bardzo mnie to interesuje. (*Z emfazą*). Ten poczciwy i pracowity lud zawsze mnie zajmował.

Szambelan (*ironicznie*).

O! widzi pani! ja mówiłem, że go to zainteresuje.

Klara (*z uśmiechem*).

Tegom była także pewna.

Feliks (*na stronie*).

Jakim oni to tonem mówią?

Stary wieśniak (*przystępuje, prowadząc obie dziewczęta z wiankami*).

Najładniejsze z całej wsi dziewczuchy przynoszą wam, państwo, co Pan Bóg dał najlepszego, a z niemi oto żyto, a to pszenica. Co na waszem polu urodziło się, a co my potem swoim zleli i rękami swemi zebrali, niech wystarczy dla was i dla nas.

Klara.

Dziękuję wam, dobrzy ludzie! wystarczy, bądźcie pewni.

Kachna (*zdejmuje wieniec i śpiewa*).

bis. { Na szerokiem polu
Żyto się złociło,
Czyste bez kąkolu
Aż popatrzeć miło.

bis. { My je sierpem ścięli,
Powiązali w snopy,
Teraz ścierni się bieli
I czernieją kopy.

bis. { I to dobro wasze
W wianku wam przynosim,
A za trudy nasze
O okrężne prosim.

Chór.

A za trudy nasze
O okrzężne prosim.

(Kachna składa wianek na kolanach Klary, która jej nakłada wianek z bławatków na głowę z mnóstwem wstążek — dziewczyna uradowana całuje ją w rękę i odbiega, chwając się przed towarzyszkami. — Klara oddaje wieniec z żyta stojącej za nią Kluczkowskiej).

Tekla *(zdejmuje swój wianek).*

A to, proszę pani, jeszcze lepszy wianek, bo to pszenica czysta, jak sama pani, a dorodna, jak ten otę jegomość, co to podobno ma być nasz pan; niech Pan Bóg da zdrowie i z pszenicy ładne bułeczki — a teraz proszę pani, niech go pani sobie weźmie, bo bardzo ciężki.

Feliks *(na stronie).*

Sprytna — i widać to jakieś rozpieszczone i śmiałe do wszystkich.

Klara *(bierąc wieniec).*

Dziękuję ci moje dziecię, pięknaś sama, jak róża; na-ż ci tę różyczkę do gorsu i ten wianeczek na głowę; — chowałam go dla ciebie umyślnie, on lepszy od tamtego. *(Nakłada jej wianek z róż na głowę).*

Tekla.

Ślicznie dziękuję pani — ładneć to, prawda, — ładne, ale cóż, kiedy to prędko zwiędnie. (*Do Feliksa*). Nieprawdaż mój jegość?

Szambelan.

Czy się znacie, że ona tak śmiało do ciebie mówi.

Feliks (*zaambarasowany*).

Nie, nie, tak... nie zdarzyło mi się. (*Na stronie*). Co za kokietka dziewczyna.

Klara (*powstaje i wszyscy*).

Dziękuję wam, dziękuję, moje dzieci, i proszę co Pan Bóg dał przyjmijcie na pamiątkę tego dnia, który będziemy zawsze obchodzić bo on dla mnie podwójnie miły. (*Idzie pomiędzy wieśniaków z matką. — Kluczkowska za nią z tacą i rozdaje podarunki*).

Szambelan (*do Feliksa*).

Podziękuj że to wyraźnie przecież. (*Idzie także między wieśniaków, wita się z nimi i rozmawia*).

Feliks (*do siebie*).

Co mi tam. (*Odchodzi na stronę i zbli-*

za się do Tekli, która stała z boku). A ty, Róziu, nie zaśpiewałaś, oddając swój wieniec?

Tekla.

E, nie umię proszę jegomości. (*Nuci*). Nie umię ja śpiewać bom się nie uczyła. Bo mnie pani matka do roboty bila.

Feliks (*oglądając się*).

Ale tańcować będziesz? co?

Tekla.

Nie, także nie umię, proszę pana.

Feliks.

Nieprawda, droga Róziu, chyba nie chcesz.

Tekla.

Acha! zgadł jegomość. (*Filuterniej i ciszej*). Ja wolę z jegomością pogadać, jak Wojtek pójdzie w taniec.

Feliks (*ciszej*).

Szukałem cię cały ranek, droga Róziu, i nigdzie znaleźć nie mogłem.

Tekla.

E, nie trzeba było szukać, bo może być bieda.

Feliks (*ogładając się*).

Moja ty złota Rózieczko!

Tekla.

Tobym była ładna, żebyć była złota, co też to jegomość za głupstwo powiedział. Alboć to mi tak niedobrze, zem nie złota, tylko rumiana i młoda.

Feliks.

Ale doskonale ci tak, moja najmiłsza. (*Na stronie*). To są czasy, doprawdy ja ją kocham.

Tekla (*patrząc mu miło w oczy*).

Kiedyż bo jegomość już i kłamie — gdzie zaś ja, jegomościna najmiłsza!

Feliks.

Nie kłamię, Róziu, nie! Gdybym mógł gdzie spotkać cię samę, żeby ci wszystko powiedzieć!

Tekla.

E, do czego to, proszę jegomości? jakby Wójtuś obaczył, toby jegomości boki wylatał.

Feliks.

To powiedz przynajmniej, żebyś chciała gdzie mnie zobaczyć.

Tekla (*z umizgiem*).

A jużcić żebym bardzo chciała.

Feliks.

Daj że mi tę różyczkę, miła Róziu na pamiątkę.

Tekla (*oddając*).

A cóż jegomość mnie da?

Feliks (*nakłada jej nieznacznie pierścionek na palec*),

Ja cię kocham droga Róziu!

Tekla (*poglądając na pierścień, na stronie*).

Mój własny pierścionek, a to doskonale.
(*Odbiega*).

Szambelan (*który się zbliżył, kładzie rękę na ramieniu Feliksa*).

Cóż to za dyskurs taki długi z tą dziewczyną?

Feliks (*pomiészany*).

Ja, mój ojczy? Tak rozmawiałem...

Szambelan.

Ale to widzieliśmy wszyscy, lecz o czemże taka rozmowa?

Feliks.

Interesujące stworzenie — wypytywałem się o jej rodziców, o jej zajęcie. Sierota! biedaczka! a pędzą ją do ciężkiej pracy. Co to za bezwzględność na siły, na wiek — otóż to skutek dawnych zbutwiałych urzędzeń, w których tylko egoizm jednej strony zyskuje.

Szambelan.

Hm! czy to ściskając za rękę tę dziewczynę, zrobiłeś te uwagi?

Feliks.

Czyż mamy wiecznie, dąć się nie wiedzieć czem, i odróżniać tak, jak gdybyśmy byli jakieś inne istoty? Jeżeli z nią mówił łaskawiej i poufałej się obszedł, cóż z tego? Ja z innego stanowiska patrzę na ten stan szanowny i przynajmniej w dniu dzisiejszym popularność i zmieszanie się z tym ludem nam przystoi.

Szambelan.

Zgadzam się z tem zupełnie, tyłkoby wolał, abyś się zmieszał tam z tymi zacnymi rolnikami, a nie z ładną dziewczyną; bo to może zwrócić uwagę i dać im o tobie złą opinią. Tem bardziej, że tu twoja narzeczona.

Feliks.

Ojczel! na miłość Boską, nie dręcz mnie
tą narzeczoną — ona nigdy nią nie będzie.

Szambelan.

Obaczymy, obaczymy — proszę tam iść
natychmiast.

Klara.

Teraz, moi kochani, siadajcie za stół —
jedzcie, pijcie! zasłużyliście na to!

Starzy Wieśniacy.

Dziękujewa dobrej pani. (*Siadają*).

Pani Erazmowa.

No, matki, siadajcie tu, i ja z wami.

Kobiety.

Dziękujewa — pojdziem — niech Pan
Bóg da zdrowie. (*Siadają*),

Szambelan.

A no, wy chłopaki? cóż tak stoicie!

Wojtek (*występuje i kłania się szambelanowi*).

Proszę jegomości mybyśmy pierwiej po-
śpiewali i z onemi dziewuchami, to tam na nas
zerkają, potańcowali, jeżeli łaska wielmożnego
państwa pozwolić.

Szambelan.

Dobrze i owszem — śpiewajcie — tańcujcie — bawcie się, jak się wam podoba, to wasz dzień. Panie ekonomie, każ przygotować wódki i zbliżyć się żydkom; niech grają. (*Chłopcy i dziewczki stają prędko naprzeciw siebie rzędem, Wojtek z brzegu śpiewa*).

Wojtek.

Hej! tam, panie ekonomie,
Piwa, wódki, daj,
A ty, żydzie, stań na stronie,
I mazura graj
Hej dana, dana, dana,
I mazura graj.

(*Przechodzą raz hołupcem w około i znouu stają i tak za każdą strofą*).

Pracowaliśmy od rana
Z czoła pot sie lał,
Teraz przyśliśwa do pana,
By zapłatę dał.
Hej, dana, dana, dana,
By zapłatę dał. (*Tańcują*).
Nasz sierp zżał mu kłosów dosyć,
Złota dobył pług,
Może cienkie sukna nosić,
I mieć dużo sług.
Hej dana, dana, dana,
I mieć dużo sług. (*Tańczą*).

Niech-że za stół nas posadzi,
Każe wódki dać
I muzykę nam sprowadzi,
Dyć go na to stać
Hej dana, dana itd.

Hej chłopaki, hej dziewczęta,
Niezły i nasz stan,
Nikt o biedzie nie pamięta,
Kiedy dobry pan,
Hej dana, dana itd.

Nuże żwawo do mazura,
Daj mi rączkę, daj!
Niech-że do mnie przyjdzie która,
A, ty żydzie, graj!
Hej dana, dana, dana,
A ty, żydzie, graj!

(Tańcząc przez niejaki czas mazura — wśród tańców i śpiewania Feliks starał się przybliżyć do Tekli, która nie znajdowała się między dziewczętami, ale mu szambelan zawsze przeszkadzał, co go niecierpliwiło. Nareszcie gdy się huczny mazur zaczął i szambelan zagadał się niby z siostrą i Klarą, Feliks się wymknął — zbliżył do Tekli — ona go przyjęła z umizgiem — chwilkę z sobą rozmawiali z boku, potem, usuwając się nieznacznie, znikli w ogrodzie).

Wojtek.

Teraz dosyć — dziękujewa państwa —
pójdziema jeść i pić. *(Odchodzą za stół).*

Klara.

Wujaszku! wujaszku! patrz, już ich nie ma!

Szambelan.

Uważałem ja, jak filozoficznie drapnął do dziewczyny.

Pani Erazmowa.

Ależ bo go męczycie niemiłosiernie.

Klara (*patrzac w ogród*).

On się na seryo w niej zakochał. — patrz, wujciu! w jakiej dobrej harmonii — jak jej ręce całuje. A, pan filozof! więc to z takiego stanowiska patrzy na t-n stan szanowny. Mój wujciu! trzeba go jeszcze bardziej skonfundować.

Szambelan.

Czekaj! (*Wychodzi*).

Pani Erazmowa.

Ależ wy wielkie swawolnice jesteście.

Klara (*klaszczac w ręce*).

Patrz, mamó, z jaką miną wujaszek ich prowadzi. (*Wchodzi szambelan — z jednej strony Feliks — z drugiej Tekla zawstydzona — Klara odwraca się, niby nadąsana — pani Erazmowa także; obie odchodzą do włościan.*)

Szambelan.

Panie ekonomie! proszę mieć oko na tę

dziewczyne — wstydz się, taka młoda, a taka zalotna!

Tekla.

E, proszę jegomości, cóż ja winna, kiedy ten panicz, jak mi zaczął gadać: moja miła! jak zaczął po rękach całować....

Szambelan.

A, ładnie!

Feliks (*odprowadza ojca na przód sceny*).

Ależ, mój ojcze!

Szambelan.

Proszę się nie eksplikować. Filantropijne mi frazesami nie dam się wyprowadzić w pole. Więc to wasza miłość tego ludu wiejskiego — najładniejsze jego dziewczęta kochacie!

Feliks.

Moje stanowisko, mój ojcze!

Szambelan.

Jest nieszczęśliwe, mój synu, a moje także. Wprowadziłeś mnie w kłopot, naraziłeś na wstyd przed panną, którą ci naznaczył, i przed temi ludźmi, których lekceważysz, choć perorujesz o ich szczęściu. Powiedz że mi teraz, jak się wywiążesz z panego słowa?

Feliks.

Prosiłem cię, ojczu, zerwij je, bo ja jej nie chcę i gwałtu sobie zrobić nie dam. Szanuję cię, ojczu, i kocham — ale jeżeli w tej mierze wola twoja niecofniona, to ci będę musiał być nieposłusznym. Minął ten czas, kiedy rodzice tak kojarzyli związki; jak ty, mój ojczu, chciałeś zrobić; kiedy tylko układali i zestosowywali z sobą wioski i interesa; i gdy te przystawały do siebie, nie pytali się o to, czy serce przystanie do serca i myśl z myślą się zgodzi. Co mi tam do tego, że nasz stan jednakowy, nasze imiona szlacheckie, że nasze majątki równe. Dziś już nikt na to nie patrzy. Różnice stanów znikły, a o pieniądze nie dbam. Ja potrzebuję szczęścia, mój ojczu, a nie pieniędzy, a z nią nigdybym go nie miał.

Szambelan.

Ha! jeżeli tak — gwałtu robić ci nie chcę i narażać się na to, abyś mi był nieposłusznym. — Nie możesz się przewyciężyć? — niech tak będzie, powstydzimy się trochę — ale wytłomaczmy się.

Feliks (*uradowany całuje jego rękę*).

Dziękuję ci, mój ojczu!

Szambelan.

Więcej ci powiem, żebym cię przekonał że i mnie szło zawsze i idzie o twoje szczęście tylko, że i ja nie patrzę na różnicę stanów i bardziej chcę, aby serce do serca przypadło, niż wioska do wioski, ponieważ uważam, że ci ta śliczna dziewczeczka tak bardzo się podobała, iż przekonany jestem, że cię i miłość skłania i filozofia upoważnia...

Feliks (zmięszany).

Jak to? jak to? o kimże to mówić chcesz, ojcze?

Szambelan.

Jużciż o tej pięknej Rózi, za którąś dziś po wsi cały ranek latał, z którą tu ciągle szeptałeś, którąś ciągle po rękach całował, i której róża wygląda ci z za-kamizelki. — Ponieważ ją tak bardzo kochasz — żeń się.

Feliks (odskakuje).

Ależ, kochany! to znowu co innego, tak dalece... przyznam ci się.... (Na stronie).
A tom wlaź w ładną kabałę!

Szambelan.

Jak-to, co innego? ja tu nic innego nie

widzę, tylko zgodność myśli, — wspólne przywiązanie przystawanie serca do serca.

Feliks.

Tak, to prawda... ależ, mój ojcze! chłopka bez edukacyi!

Szambelan.

Chłopka? a dopókiż dąć się będziemy, odróżniać, jak gdybyśmy byli co lepszego, i pomiatać tym szanownym stanem.

Feliks.

Tak jest, tak, mój ojcze! ależ znowu z tak absolutnego stanowiska...

Szambelan.

A więc to panicz ze stanowiska rozpusty patrzył na to piękne i niewinne stworzenie? — Więc chciało się ją zbałamucić, nieszczęśliwą zrobić, użyć jako narzędzie swywoli? O, nie, panie filozofie! ja nie peroruję tak jak wy; ale nie pozwolę na taki niemoralny postępek i nie dopuszczę krzywdy tym ludzi, których gruntownie szacuję i z serca kocham. Podobało ci się — żeń się — narobiłeś jej wstydu w obliczu wsi całej, nagródź jej to swoją ręką, swo-

jem imieniem, ja nie myślę odpowiadać za ciebie przed tymi ludźmi. Nawarzyliście piwa swemi perorami. Ja go pić nie chcę. Obróć się -- obacz co to za miny. (*Chłopi ugrupowani przybliżyli się*).

Feliks (*na stronie*),

Tożem sobie narobił! będę gadką całej Warszawy! (*Głośno*). Ależ to w żaden sposób być nie może, mój ojczy!

Szambelan.

A ja cię przekonam, że będzie. (*Do Klary*). Pani dobrodziejko! Odrzuciłaś pani jego rękę, teraz widzę, żeś miała zupełną rację. Lecz wróć mu pani swój szacunek; skompromitował on wprawdzie i zawstydził w obec całej wioski tę niewinną dziewczynę, ale chce jej to wynagrodzić.

Feliks.

Ależ, mój ojczy!

Klara.

Chce się z nią zapewne ożenić?

Szambelan.

Tak jest, pani droga.

Klara.

Otóż to jest i moralnie i filozoficznie. Teraz mi pan dałeś dowód, że nie mówą tylko, ale i czynem chcesz się zespolić z tym poczciwym ludem, który na nas pracuje, a któremu jesteście braćmi, równie duszą jak i ciałem. (*Podaje mu rękę*). Teraz zgoda między nami — chodź tu, Róziu! (*Tekla przystępuje*).

Feliks (*na stronie*).

Jak tu u diabła wybrnąć z tej biedy? — nie pojmuję co się ojcu mojemu stało.

Szambelan.

Czy ten panicz mówił, że cię kocha?

Tekla (*spuszczając oczy*),

A jużci. proszę jegomości, mówił i nie raz, i wczoraj jakem przyszła do onego malunku i pani nie zastała, i dziś - - ba — jeszcze mówił, że miła, droga i najmiłsza.

Szambelan.

A on-że tobie podobał się?

Tekla (*poglądając na Feliksa*).

E, jakbyć się nie podobał? albo to jabym

z nim gadała i pozwoliła, żeby mnie po rękach całował, żeby się nie spodobał?

Klara.

To pan ją w rękę całowałeś? otóż to filozoficznie — otóż to porównanie stanów.

Feliks (*na stronie*).

Niech że to djabli wezmą, jak mię wplątali.

Szambelan.

Ponieważ tedy tak kochacie się wzajemnie, to ja pozwalam memu synowi żenić się z tobą — wszak sprawiedliwie robię, dobrzy ludzie?

Wojtek.

A jużci proszę jaśnie wielmożnego pana, tak się należy. Dziewczynie byłby wstyd i zginęłaby dziewczką.

Szambelan

A tyż, Róziu, chcesz go za męża?

Tekla.

E, ja nie wiem.

Szambelan.

Jakto, nie wiesz?

Tekla.

Jabym może i chciała, kiedy nie śmiem powiedzieć.

Klara.

Chcesz, Róziu, chcesz, ja wiem.

Feliks (*porywając się*).

Mój ojcie! dosyć tych komedyj! — nie pojmuję, dlaczego tu jestem przedmiotem jakiegoś żartu. — Żegnam państwa. (*Chce iść*).

Szambelan (*zatrzymuje go*).

Stój! więc nie chcesz i tej?

Feliks (*z mocą*).

Nie chcę — nie chcę — głupstwom zrobił, to prawda. — Ładne dziewczę — podo-
bało mi się, to prawda — i wstydzę się, że
się nie umiał pokonać i nie ukrył tego. Ale
proszę cię, ojcie! proszę państwa przestać na
tem wyznaniu, które mnie dość upokarza.

Tekla (*przystępuje do niego*).

A widzisz jegomość, ja mówiłam, że to się
na nic nie zda, że jegomość łgał, kiej mówił,
że mnie bardzo kocha; że jegomość będziesz

sobie potem ze mnie biednej żartował, jak ja powiem jegomości, że także kocham. (*Z płaczem*). A teraz mnie jegomość nie chce — to weź że sobie jegomość mój podarunek, coś mi go dał, ja jegomości także nie chcę. (*Daje mu jego własny pierścionek*). A przypatrz się jegomość dobrze, że ten sam.

Feliks (*bierze i przypatruje się*).

Co to jest? to nie ten! — To mój pierścień, którym dostał pannie Tekli — ojcie! O! mój Boże! gdyby to była prawda! (*Bierze jej rękę*). To rączka taka delikatna, te rysy, to wejrzenie takie słodkie i tak pełne rozumu! Śmiejecie się państwo? Ojcie! Iza radości w twojem oku? O! to jest panna Tekla!

Tekla (*pokazuje mu pierścień*).

A to pierścień dawnej Rózi, panie Feliksie!

Feliks (*na kolanach*).

O pani moja, gdybyś wiedziała, jak jestem szczęśliwym!

Szambelan.

Więc teraz chcesz? .

Feliks (*zrywa się i całuje rękę Tekli*).

Chcę, chcę, wszystkimi siłami duszy; a ty też, pani? — o, powiedz!

Tekla (*ze słodkiem wejrzeniem*).

Alboż Różia nie powiedziała?

Feliks (*ściska ojca*).

O mój ojczu! jakżem ci wdzięczny! Ciociu droga! Ale któż jest ta? O! to pewnie Klara!

Klara.

Z jakiegoż stanowiska patrzysz teraz na mnie, braciszku?

Feliks (*ściska ją*).

Ze stanowiska szczęścia, swywolnico! za które wam wszystkim dziękuję — i tobie, ojczu! i tobie, ciociu! i wam, dobrzy ludzie, żeście milczeli. — O moja droga pani! pozwól im jeszcze potaćcować. Do dnia! do dnia! moje dzieci! i ja z wami, ale nie tak. (*Biegnie na bok, zrzuca frak, bierze od jednego chłopaka sukmanę, nakłada czapkę i tak przyskakuje do Tekli*). Teraz nuż para — tak, moi ludzie, co roku obchodzić będziemy okrężne — dalej, stawajcie! A ty, żydzie, graj!

Szambelan.

Do mazura, dzieci!

Wszyscy.

Wiwat! (*Muzyka zaczyna grać — stają do mazura — powszechna radość — załona spada.*)

(Els. fr. Konemowski)

KONIEC.

Biblioteka Główna UMK



300000881064





Biblioteka
Główna
UMK Toruń

791561

25